

BARBARA ODNOUS

OBIAD



BARBARA ODNOUS
OBIAD



 SAGA
EGMONT

Barbara Odnous

Obiad

Saga

Obiad

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 0, 2021 Barbara Odnous i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726893564

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Obiad

[129 926 zzs]

Niebo niosło zapowiedź nieszczęścia. Czarnogranatowe chmury sunęły ociężale nabrzmiałe deszczem. Nadciągały od zachodu – jak rozcapierzone pazury bestii szykującej się rozgnieść łapą miasto. Zanim goście Józefa H. dopili poobiednią kawę, chmury przechyliły brzegi i wylały całą swoją zawartość w samo centrum polskiego wschodniego miasteczka.

Józef H. przyjął atak żywiołu jako nieuchronne następstwo zdarzeń minionego tygodnia. U ich początku stało Słowo.

Słowo przyszło do Józefa H. pewnego sierpniowego przedpołudnia.

– Józik, na miłość boską, czy ty zniesiesz w końcu pawilon i huśtawkę. Lato już się prawie kończy, prawda, ale przecież jeszcze Ewa z dziewczynkami przyjadą na tydzień, a i sam byś się kawy wygodnie w ogródku napił, w cieniu, pod pawilonem, nie w pełnym słońcu – powiedziała przy śniadaniu Sabina, z którą Józef H. dzielił życie od kilkudziesięciu lat.

– Amerykańskie zwyczaje z tymi huśtawkami.

Zaburczał w odpowiedzi Józef H.:

– Kiedyś przy chałupie rosły malwy, pod oknem kwitły nasturcje, a z ogródka, pamiętam jak dziś, matka przynosiła szczaw albo rabarbar. A teraz, gdzie nie spojrzeć, wszędzie huśtawki, parasole, trampoliny i inne pierduły, a miętę na pierogi to Ewa z supermarketu z Lublina musi przywozić.

Józef H. narzekał wyłącznie z wrodzonej przekory. Wiedział, że żona miała rację. Była druga połowa sierpnia, a u nich ogrodowy sprzęt ciągle leżał na strychu. Warto byłoby choć sprawdzić, czy go jaka pleśń nie zjada. Tyle że Józefowi H. zwyczajnie nie chciało się włączyć na poddasze. Tym bardziej że właściwie nie miał dla kogo letnich klamotów znosić. Ewa, starsza z córek, razem z wnuczkami pojechała do męża do Niemiec, żeby dzieciaki choć w wakacje nacieszyły się ojcem, natomiast młodsza córka, Gosia, odkąd z nauczycielki zrobiła się handlowcem w zachodnim koncernie, mieszka we Wrocławiu i przyjeżdża bardzo rzadko. A przecież im, starym, i pawilon, i huśtawka mało potrzebne. Wprawdzie Sabina lubi zaprosić sąsiadki na plotki do ogródka i marudzi, że nie ma gdzie uciec od słońca, ale teraz to nawet strach wynieść delikatne mebelki. Ta pogoda taka zwariowana. Na przemian skwar i monsunowe deszcze. Rano cicho-parno, a w południe gradobicie. I czy kto widział, żeby pod koniec sierpnia było cieplej niż na początku lata?

Sabina drążyła jednak temat.

– Pewnie. Huśtawka zła, bo to męska robota ją złożyć. Trawnik koło domu też zły, bo to męski obowiązek go skosić. Co innego ogródek. Ogródek koło domu, ogródek w polu, a ty babo w kółko siej, piel, gotuj, pierz, sprzątaj a mąż w tym czasie świat z kolegami w barze przy piwie naprawia. To ja już wolę tę Amerykę.

Żona Józefa H. udawała oburzenie tylko dla niewinnego poprzekomarzania się. Ich małżeństwu nie groziło nic od dawna, choć postronny obserwator mógłby fałszywie wnioskować, że tych dwoje ciągle się kłóci. Józef H. święcie wierzył, że takie niewinne sprzeczki pozwolą mu zachować sprawność umysłu do późnej starości, a w żonie znalazł

godnego partnera. Sabina mężowskich zaczepki nie traktowała nigdy poważnie, zaś dzień obudzony szczyptą humoru, choćby i zjadliwego, nabierał dla niej tempa.

Ranek w ich domu, odkąd oboje przeszli na emeryturę, wyglądał zawsze tak samo. Sabina wstawała pierwsza i po krótkiej toalecie zabierała się za przygotowanie śniadania. Kiedy wchodziła do kuchni, wstawał Józef H., szedł do łazienki, golił się, po czym siadał za kuchennym stołem i czekał, obserwując krzątającą się przy kuchni żonę.

Stołość świata opierała się dla niego na tym widoku. Gdzieś tam szalały huragany i powodzie, terroryści szykowali kolejne zamachy, głód i AIDS zbierały żniwo w Afryce, ale dopóki Sabina bezbłędnie wykonywała swój poranny taniec smażenia jajecznic, dopóty Józef H. miał pewność, że słońce zatoczy zwykły krąg i żadna globalna plaga nie dotknie, ba, nie muśnie nawet małego wschodniego miasteczka, w którym całe życie przemieszkał.

Józef H. oglądał kiedyś w telewizji tancerki z Tajlandii w rytualnym tańcu. Śniadolice dziewczyny w jaskrawo wzorzystych szatach wykonywały – wystudiowane przez lata ćwiczeń – zawsze takie same ruchy rąk i tułowia. Pewnego dnia, czekając jak zwykle na śniadanie, doszedł do wniosku, że Sabina w swoim kwiecistym szlafroku zachowuje się w kuchni dokładnie tak samo jak tamte tancerki na ekranie, tyle że jej układ tańca wyznaczyła nie wiekowa tradycja, ale organizacja pracy w kuchni. Od tamtej pory Józef H. nazywał żonę po cichu swoją tajską tancerką. Po cichu – nie był bowiem pewien, czy w pojęciu tajskiej tancerki nie kryje się odrobina sprośności, na którą by sobie nigdy nie pozwolił. Gdy w końcu odważył się podzielić spostrzeżeniem z Sabina, ta wybuchła szczerym śmiechem.

– Marzy ci się ryżowa żona na starość?

Zakpiła:

- A kto by ci gotował ukochane kluchy i pierogi? Ty myślisz, że Tajki po pierogach mogłyby tak biodrami kręcić?
- Tańcz to śniadanie szybciej, tańcz.

Zaburczał wówczas dobrodusznie Józef H., starając się, aby ostatecznie słowo w rozmowie należało jednak do niego.

Jeśli Józef H. czegoś się jeszcze w życiu obawiał, to właśnie dnia, kiedy ten rytuał ulegnie zaburzeniu. Nieuchronnie przyjdzie taki ranek, kiedy Sabina zmieni układ porannego tańca: po raz pierwszy rozsypie sól albo upuści jajko, może talerz, a być może w ogóle nie wejdzie do kuchni i – jeżeli oczywiście Józef H. sam tego dnia dożyje – w tym momencie świat się zatrzyma i życie potoczy się inaczej. Nie wiedział, jak, ale był pewien, że inaczej. I to „inaczej” wywoływało u niego lęk, skrywany gdzieś głęboko w trzewiach.

Na szczęście dzisiaj wszystko szło normalnym trybem. Sabina jak zwykle sięgnęła najpierw po patelnię i... rozpoczęła swoje misterium tańca jajeczniczy. Józef H. obserwował żonę uważnie. Płynność jej ruchów napełniała go błogim spokojem.

Po śniadaniu Józef H. pomógł Sabinie sprzątnąć ze stołu, wypalił na ławce przed domem papierosa, jedyne, na którego pozwalał sobie w ciągu całego dnia, i poszedł na strych po letnie graty.

DZIADEK

Wejście na poddasze w domu Józefa H. to była prawdziwa podróż w czasie. Strych pamiętał nie tylko jego ojca, ale i dziadka, którego Józef H. nie zdążył poznać, choć odziedziczył po nim i imię, i dom, i ziemię.

Dziadkowi przyszłość wyznaczył od maleńkości dworski kierat ¹, w którym poganiał konie w szerokich parcianych ² gaciach. Chwila nieuwagi wystarczyła, żeby maszyna wciągnęła portki i dzieciak stracił stopę. A cóż był wart na wsi chłop bez nogi. Na szczęście pomógł dziedzic, właściciel pobliskiego folwarku, i dziadek został wysłany do swojego wuja, szewca w Warszawie, na naukę zawodu, w którym brak stopy nie był wielką przeszkodą. Trzeba przyznać, wykorzystał szansę, a że talentu w rękach los mu nie poskąpił, po powrocie do domu na wieś szybko zaczął nie tylko łątać, ale i obstalowywać ³ buty okolicznym gospodarzom. Wkrótce wyrobił sobie na tyle dobrą markę, że zwiedzieli się o nim domokrażni kupcy z głębi rosyjskiego imperium ⁴. Gdy zaczęli regularnie przyjeżdżać – wczesną wiosną po kamaszki i sandały a późnym latem po skórzane oficerki, wyklócając się zawsze o „choć jeszcze jedną parę” – szewski interes rozkwitł na dobre, a dziadek szybko znalazł sobie gospodarną żonę i przeniósł się z warsztatem do pobliskiego miasteczka. Z czasem stać go było nawet na chesne w gimnazjum dla syna jedynaka, ale ponieważ ten nie wykazywał zbytniego zamiłowania ani do nauki, ani do rzemiosła, dziadek szybko przestał płacić za szkołę i kupił szmat ziemi w pobliżu miasteczka. „Gospodarz” zawsze brzmiało dla niego lepiej niżli „szewc”, choćby najbogatszy. Nie zwlekając też, postawił na kupionym gruncie solidne murowane budynki.

Dziadek spieszył się, jakby przewidując, że szczęście i dobrobyt nie mogą trwać wiecznie. I faktycznie, wkrótce przyszła wojna, zrazu zwana wielką, a później już tylko pierwszą, a w ślad za nią przyszedł kres rynku wschodniego i kupcy przestali przyjeżdżać po dziadkowe buty. Okolica wypełniła się za to różnojęzycznym wojskiem. Z żołnierzami przyszedł i tyfus, który zabrał dziadka. Dziadek rozpoczął gospodarzenie na niebieskich pastwiskach, a na ziemi